

HOMO AMERICANUS

Autor:
13.02.2012.
Zmieniony 27.02.2012.

HOMO AMERICANUS - autor: Jerzy Ziórkowski

We wrześniu 1993 r. opublikowane zostały wyniki badań Departamentu Edukacji Stanów Zjednoczonych zatytułowane "Umiejętności czytania i pisania w USA". Były to najobszerniejsze studia, jakie kiedykolwiek przeprowadzono nad Amerykanami: trwały 4 lata i objęły 26 tys. osób.

DEBIL AMERYKAŃSKI

Wyniki zaskakowały amerykańską opinię publiczną okazało się, że w USA żyje 27 mln analfabetów i 45 mln tzw. analfabetów funkcjonalnych. Prawie połowa ze 191 milionów dorosłych Amerykanów nie jest w stanie wykonać tak prostej czynności jak wypienienie przekazu bankowego. Tylko 4 proc. potrafi przy użyciu elektronicznego kalkulatora obliczyć koszt wykładziny, mając podane cenę metra kwadratowego i rozmiary pokoju.

Naukowcy przeprowadzający badania zmuszeni byli zastosować nową definicję analfabetyzmu. W tradycyjnym pojęciu analfabetą byłby osobnik podpisujący się krzyżem. Testy Departamentu Edukacji dowiodły, że wiele osób umie czytać w technicznym tego słowa znaczeniu, tzn. są w stanie rozszyfrować słowa, ale brak im umiejętności koniecznych do korzystania z tej informacji (są to owi analfabeci funkcjonalni, których liczbę szacuje się na 45 mln). Co ciekawe, połowa osób, które osiągnęły najgorsze wyniki, to absolwenci High School. Niektórzy z dyplomami tych uczelni nie umieli w ogóle ani czytać, ani pisać.

Poziom nauczania w USA jest o wiele niższy niż w Europie Zachodniej, np. 40 proc. uczniów europejskich szkół średnich jest w stanie rozwiązać zadania matematyczne, których 90 proc. amerykańskich uczniów na tym samym poziomie nie umie rozwiązać.

W 1947 r. 45 proc. uczniów w USA było w stanie odnaleźć na mapie Europę, w 1988 r. było ich zaledwie 25 proc. Podczas wojny w Zatoce Perskiej w 1991 r., kiedy to 500 tys. żołnierzy amerykańskich znajdowało się na froncie, aż 80 proc. Amerykanów nie wiedziało, gdzie leży Irak, natomiast 92 proc. wiedziało, że prezydent Bush nie lubi i nie będzie jadł broku.

Dzieje się tak, pomimo że w latach 80. USA zainwestowały w edukację 420 mld dol. (czyli o 29 proc. więcej niż kiedykolwiek w historii.) W wielkość wydatków na kształcenie studenta Stany ustępują na świecie jedynie Szwajcarii. Okazuje się jednak, że wysokie nakłady finansowe nie gwarantują równie wysokiego poziomu nauczania. Skąd więc fenomen - jak to określa prasa w USA - "debiła amerykańskiego"?

AMERYKANIZOWAĆ I WYRÓWNYWAĆ !

Na początek przyjrzyjmy się systemowi edukacji. Na mocy ustawy federalnej szkolnictwo jest obowiązkowe do 16 roku życia: zaczyna się w wieku 6, a nawet 5 lat od Elementary School, która trwa 4 lata; potem idzie Middle School, względnie Junior High - klasy 6, 7 i 8; następnie High School, względnie Senior High - klasy 9, 10, 11 i 12. Tak więc przeciętnie w wieku lat 18 Amerykanin kończy szkołę średnią.

W USA nie ma matury, jedynie SAT dla tych, którzy chcą studiować. SAT to składający się z dwóch części - matematycznej i werbalnej - egzamin, określający kwalifikacje na studia wyższe. Jest on dla uniwersytetów praktycznie tym samym, co Dow-Jones-Index dla Wall Street. Dla tych, którzy nie chcą studiować, nie jest on istotny. Dyplom High School otrzymuje się niezależnie od SAT-u. Wystarczy zaliczyć daną liczbę kursów (credits).

High School to szkoła narodu, który jest podzielony na katolików, protestantów, żydów, tubylców i emigrantów, Białych, Czarnych, "ótych itd. Zadaniem szkół amerykańskich było zawsze zacieranie tych różnic w klasie, innymi słowy: zrobienie z tych dzieci Amerykanów. "Amerykanizować i wyrównywać!" - brzmiało główne hasło.

W 1918 r. National Education Association uchwaliła 7 głównych priorytetów szkolnictwa średniego: 1. zdrowie, 2. wdrażanie podstawowymi technikami kultury, 3. wartościowe życie rodzinne, 4. zawód, 5. cnoty obywatelskie, 6. sensowna organizacja wolnego czasu, 7. charakter etyczny. Pomijając "podstawowe techniki kultury", pod którymi rozumiano pisanie, czytanie i rachunki, nie znajdziemy w tym spisie niczego o nabywaniu wiedzy w jakichkolwiek innych przedmiotach.

EGZAMIN Z PROSTYTUCJI

Powstała w kwietniu 1983 r. przez prezydenta Reagana The National Commission on Excellence in Education opublikowała raport zatytułowany "A Nation At Risk" ("Naród w niebezpieczeństwie"). Okazało się, że w latach 1976-81, w porównaniu z latami 1964-69, obniżyła się o połowę poziom wymagań w szkołach, zredukowano powagę liczbę zadań domowych, a w 13 stanach wprowadzono zasadę dobrowolności w wyborze przedmiotu.

Szkoły upodobniły się przez to do centrów handlowych, tzw. shopping malls, które przyciągają szerokie spektrum konsumentów o różnych gustach. Przeglądając katalog jednej ze szkół (notabene, liczący 65 stron i zawierający 400 kursów) znajdziemy tam takie przedmioty jak: astrologia, cheerleading, higiena dziecka, mass media, żywność, football amerykański, prostytutka, sztuka kulinarna, rysowanie komiksów, broń, gra na gitarze, nauka jazdy, ogień i my, szycie plecaków, mierze, jak uzyskuje skuteczne środki antykoncepcyjne itd. Jednocześnie oferta uzależniona jest od zapotrzebowania uczniów, np. jeżeli na kurs z matematyki nie zapisze się odpowiednia liczba chętnych, jest on skreślony z rejestru.

W katalogu znalazłem też "język angielski dla klasy 8". Oferowane były 3 kursy o różnym stopniu trudności: najwyższy "dla tych, którzy chcą i są w stanie przeczytać 2 albo 3 książki kwartalnie, i którzy napiszą o swoich przeżyciach czy też o książce raz na tydzień"; średni "dla uczniów, którzy czytają i piszą tylko wtedy, kiedy muszą"; najniższy "dla tych, którzy mają kłopoty z czytaniem i pisanem. Większość czytania będzie wykonywana podczas lekcji." Te ostatnie zajęcia zdominowane są przez lekturę "Piotrusia Pana" i "Człowieka Pajaka".

W Stanach nie istnieje system powtarzania klasy, powtarza się jedynie nie zaliczony kurs. Co piąty publiczny college ma obowiązek przyjąć każdego absolwenta szkoły średniej bez względu na jego wyniki w nauce, jeżeli tylko jest obywatelem danego stanu. Oznacza to, że obojętnie, czy uczeń zakończy kurs rysowania komiksów i gotowania obiadów, czy fizyki i chemii - i tak zostanie przyjęty na studia.

KLASÓWKA CZYLI GWAŁT

Swój wkład w obniżanie poziomu wykształcenia Amerykanów wniosły też podręczniki. Badania dowiodły, że uczniowie byli w stanie poradzić sobie z 80 proc. materiału zawartego w podręcznikach, zanim w ogóle je otworzyli. Wynika to z faktu, że drukowanie podręczników stało się lukratywnym biznesem. Ponad 20 stanów kupuje hurtowo podręczniki dla szkół na swoim terenie. Sprzedanie miastu Los Angeles swojego elementarza oznacza zarobienie kilku milionów dolarów. Wydawcy nie mogą więc sobie pozwolić na ryzyko, że ich podręczniki wywołają niezadowolenie czy protest. Całe sztaby ludzi piszą i kontrolują teksty, aby broń Boże, kogoś nie obrazić i nie zgorszyć. Wszelkie kwestie kontrowersyjne są natychmiast wycinane, stąd np. w podręczniku historii USA brak jakichkolwiek informacji o Thomasie Jeffersonie.

Powołana przez Reagana komisja zwróciła też uwagę na inflację stopni dokonywaną przez nauczycieli. Okazało się, że nauczyciele przedstawiali stawiając zło stopnie, ponieważ w społeczeństwie, które kocha cenzurki ponad wszystko, byłoby to równoznaczne ze skazywaniem uczniów na niepowodzenie. Wprowadziliby to niezdrowy podział na dobrze się zapowiadających i na nieudaczników, którzy mieliby półnieszczęścia na rynku pracy...

Z tego powodu w większości szkół samo regularne uczęszczanie na lekcje wystarczy, aby kurs został zaliczony. Uczniowie zdają sobie z tego doskonale sprawę. Toteż nie może dziwić wypowiedź nauczycielki z Ohio, która zastrzegła na początku roku szkolnego, że jeżeli jej uczniowie chcą zaliczyć kurs, muszą zdać ostatnią klasówkę: "W tym momencie dopiero zdałam sobie sprawę z unikalności moich wymagań. Można by pomyśleć, że właśnie nie kazałam im zgwałcić swojej matki w południe na rynku miasta".

CHRYSTUS MÓWIŁ PO ANGIELSKU

Innym powodem kryzysu edukacji w USA, którego powołana przez Reagana komisja nie podaje, jest niski poziom wykształcenia samych nauczycieli. W zawodzie tym występuje selekcja negatywna; bardziej atrakcyjna jest profesja adwokata lub biznesmena.

Dosyć znana była sprawa pewnej nauczycielki klas piątych z Chicago, która w 1980 r. wniosła oskarżenie do sądu, ponieważ szkoła nie przedłożyła jej kontraktu. Podczas rozprawy poddano ją sprawdzianowi znajomości słów. Znaczenie słowa "suffrage" - czyli prawo do głosowania - podała ona jako: "kiedy ludzie z jakiegoś powodu cierpią", myląc to słowo z "suffer", co oznacza rzeczywiście "cierpieć". Podobnie wypadła reszta testu. Pomimo to, sędzia nakazał przedłożyć jej kontrakt. Zdecydował się na to, ponieważ na świadectwie zwolnienia doszukał się błędów ortograficznych i z tej okazji, zaś na 82 stronach oficjalnego katalogu szkoły znalazł 77 błędów ortograficznych. Nauczycielka, zapytana na ulicy przez reportera TV, jakiego przedmiotu uczy, odpowiada: "I teaches English" - "ja nauczam angielskiego".

Ogólnie mówiąc, zawód nauczyciela nie jest w Ameryce respektowany. Wiąże się to z silnym amerykańskim antyintelektualizmem, szacunkiem dla "ludzi czynu", a nie "myślicieli". Nic dziwnego, że w międzywojniu tak wielu pisarzy amerykańskich siedziało w Paryżu, gdzie traktowano intelektualistów jak bożyszcza. Przykładem owego antyintelektualizmu może być postawa gubernatora Teksasu, który nie zgodził się na dofinansowanie programu nauczania języków obcych, uzasadniając to następująco: "Jeżeli angielski byłby wystarczająco dobry dla Jezusa, to jest też wystarczająco dobry dla uczniów w Teksasie".

Fakt, że szkoły podlegają gminom, a te wymuszają ustępstwa na nauczycielach, też nie przyczynia się do podnoszenia autorytetu tych ostatnich. Na przykład, w jednej ze szkół rodzice zaprotestowali, że pi = 3,1416 jest stanowczo za duże i dzieci nie mogą go zapamiętać. Zaś dalej więc nowej definicji, a więc do zapamiętania: pi = 3. Szkoła poszła na ustępstwa.

TELEWIZOR NA STRAŃY RODZINY

Jeszcze jednym powodem paraliżu systemu edukacji, o którym komisja prezydencka nie wspomnia, jest "brak dyscypliny". Jeszcze w 1940 r. siedem najpoważniejszych problemów w amerykańskich szkołach to: rozmawianie podczas lekcji, żucie gumy, hałasowanie, bieganie po korytarzu, przepychanie się w kolejce do stołówki, łmiecenie i brak obowiązującego stroju szkolnego. W 1990 r. siedem najpoważniejszych problemów wyglądało następująco: narkomania, alkoholizm, cięła, samobójstwo, gwałt, rozbój i kradzież. Dołæ powiedzieæ, æ rocznie 110 tył. nauczycieli w USA melduje o atakach przemocy na lekcjach, kaędego dnia 135 tył. uczniów przynosi do szkoły oprócz drugiego łniadania pistolet, zał trzecia co do wielkołci jednostka policji w Stanach pełni słuębę wyłcznie w szkołach miasta Los Angeles.

Ogromnå rolå w kryzysie ołwiaty odgrywa równię telewizja. Amerykanin, który kończy szkołę, ma za sobå 15-18 tył. godzin oglådania TV i tylko 11 tył. godzin lekcji. Obejrzy przez ten czas 18 tył. morderstw i pól miliona reklamówek. Na 1000 godzin spådzonych przed ekranem przypada 30 stron sowa drukowanego. W 1983 r. legislatura stanu Nowy Jork uznała telewizor za "narzędzie konieczne do przetrwania rodziny w społeczeństwie" i nie podlegajåce zarekwirowaniu przez komornika. Telewizor uznany teå zostå za podstawowe narzędzie edukacyjne, a jako wzorcowy program ołwiatowy podawana jest "Ulica Sezamkowa".

Tymczasem "telewizyjny system nauczania" w rzeczywistołci jest wrogiem nauczania szkolnego. Po pierwsze: gosi on ideå, æ nauka i rozrywka så nierozłczne, co jest koncepcją nieznanå w åadnym dyskursie o edukacji, od Konfucjusza do Johna Dewey'a. Wynika to z faktu, æ program edukacyjny musi byå maksymalnie zabawny, aby zniechåcony uczeñ nie wyłczył telewizora. Po drugie: poniewaå kaędy program telewizyjny jest zamkniętym w sobie produktem, zakåda siå, æ nie moåna wymagaå od ucznia åadnej wiedzy wstålnej, sowa: przekrełla siå ideå porzådku rzeczy i cięglołci w procesie nauczania. Po trzecie: wszelkie komentarze, teorie, hipotezy itd. podawane så w formie maksymalnie uproszczonej, najczęłci z dynamicznymi obrazkami i szybå muzyką w tle, co w rzeczywistołci wypacza istotå przekazu. Pojawiajåce siå od czasu do czasu reklamówki odbierajå dodatkowo programowi resztki jego powagi. Ciekaw jestem, jakbyłcie Szanowni Czytelnicy zareagowali, gdybym w tym miejscu zawiesil nagle swój wykåd i zaczå reklamowaå McDonald'sa albo PKO.

PRZEMYSŁ UNIwersYTETOWY

Przejdåmy teraz do omówienia szkolnictwa wyższego w USA, które kojarzy nam siå głównie z takimi uniwersytetami jak Harvard, Princeton, Yale, Columbia, Stanford czy MIT. W rzeczywistołci czolówka ta stanowi ok. 3 proc. w morzu 2.500 uniwersytetów amerykańskich, na które pozwoliå sobie moå jedynie elita finansowa społeczeństwa. Co prawda przy pomocy stypendiów miejsca te nie så zarezerwowane jedynie dla najbogatszych, ale i tak pozostajå dostålne dla niewielu.

Najwaåniejsze dwie rzeczy, jakie naleåy wiedzieå o szkolnictwie w USA to: 1. studia så påtne, 2. cena studiów zaleåy do jakołci uniwersytetu, np. rok uniwersytecki na Harvardzie kosztuje 15 tył. dol., a w Wellesley College - 1,5 tył. dol. (tytuł magistra w Wellesley College upowaånia absolwenta co najwyżej do wstålpu na Harvard).

Komercjalizacja studiów wyższych powoduje, æ kierujå siå one zasadami rynku i figurujå na trzecim miejscu przemysłu narodowego USA. Uniwersytety, ale tylko te najlepsze, så "przedsiębiorstwami" sprzedajåcymi "produkty". Så w stanie zatrudniå najwybitniejszych pracowników na najlepszych warunkach, np. poczåtkowa pensja docenta wynosi od 100 do 150 tył. dol. rocznie. Jaki uniwersytet w Europie moåe pozwoliå sobie na taki wydatek?

Tym naleåy tłumaczyå zjawisko "brain-drain" czyli "odpływ umysłów" do USA. Dołæ powiedzieæ, æ włród kadry profesorskiej na katedrze matematyki uniwersytetu w Berkeley aå 75 proc. stanowiå nie Amerykanie, lecz Chiłczycy, Koreałczycy, Polacy, Rosjanie itd.

Z kolei, na uniwersytetach przeciåtnych, gdzie za rok akademicki påci siå od 5 do 8 tył. dol., poziom nauczania jest tak niski, æ porównaå go moåna z poziomem polskich liceów.

HUMANIZM TO NIESZCZĘŁCIE

Wiåszołæ uczelni nie dba bowiem o jakołæ wykszåcenia, lecz o stworzenie perspektyw zawodowych na przyszłolæ. Oto fragment całostronicowego ogłoszenia w "New York Times":

"Wszystkie znane uniwersytety obiecujå swoim studentom dobre wykszåcenie ogólne. Jednak humanistycznie ukierunkowany absolwent, nie posiadajåcy wykszåcenia, z którym mógby zarobiaå pieniådze, nie jest człowiekiem szczålliwym. Jego rodzice tym bardziej, bo inwestujå swe cięłko zarobione pieniådze (...) Uniwersytet w Bridgeport widzi swoje zadanie w zapobieganiu takiemu nieszczålciu".

Wypowiedå jest jasna: wykszåcenie humanistyczne oznacza "nieposiadanie wykszåcenia", co wiåcej - jest "nieszczålciem"! Nic wiåc dziwnego, æ rołnie pogarda dla przedmiotów humanistycznych, które nazywane så "akademickim cyrkiem", a największym zainteresowaniem cieszą siå takie kierunki, jak business, medycyna i prawo. W rzeczywistołci uniwersytety stajå siå dził w USA łluzami społeczeństwa: sprzedajå bilety wstålpu (czyli dyplomy)

do średnich i wyższych warstw społeczeństwa, do bardziej intratnych zawodów i dobrobytu. Wydaje się, że pokonywanie kolejnych szczebli edukacji zastąpiło marzenia o granicy posuwania się osadników jako środka ucieczki z nędzy, ponurych fabryk i zatłoczonych miast Wielkiej Brytanii. Możliwość dążenia do wiedzy dla samej wiedzy, a nie dla półnieszczęsnych możliwości zarobkowania, została zepchnięta na margines. Humanistom, którzy chcą się ubiegać o stypendia, radzi się, aby nie podkreślać, że badania sprawiają im przyjemność, ponieważ wygląda to podejrzanie i od razu zmniejsza szansę na pozytywne załatwienie sprawy.

CZY BATMAN BYŁ HOMOSEKSUALISTĄ

Oto kilka konkretnych przykładów z uniwersytetów USA, charakterystycznych dla tego typu instytucji:

"brak myślenia krytycznego i wiedza rodem z telewizyjnych quizów, np. studenci znają każdy fakt dotyczący zrzucenie bomby na Hiroszimę (nazwisko pilota, ciężar bomby, rodzaj samolotu, liczba ofiar etc.), ale nie mają nic do powiedzenia na temat: czy bomba powinna zostać zrzucona, czy też nie;

"studenci pierwszego roku nie zauważają wewnętrznej sprzeczności w wypowiedziach typu: "nie powinno być uprzedzeń wobec czarnych i innych niższych ras";

"relatywizm, który zakłada, że "ja mam swoją prawdę i pan profesor ma swoją", doprowadza do tego, że profesor nie ma prawa oceniać wypowiedzi studentów, ponieważ wszystkie poglądy są równouprawnione;

"ów relatywizm powoduje, że powstają dysertacje o tym, że "Jędro ciemności" Josepha Conrada jest dziełem rasistowskim, że "Ulisses" Jamesa Joyce'a jest powieścią o kolonializmie i alienacji w kapitalizmie, że dramaty Szekspira stanowi manifestację brytyjskiego imperializmu, patriarchy, europejskiego rasizmu, logocentryzmu etc. Powstają też takie prace doktorskie, jak np.: "Czytanie Batmana w świetle jego stosunku do Robina. Czy Batman był homoseksualistą?".

DZIEDZICTWO 1968 ROKU

Kryzys uniwersytetów wiąże się ze zmianami, jakie dokonały się po II wojnie światowej. Do tego czasu były to instytucje elitarne, zarezerwowane wyłącznie dla establishmentu. W 1944 r. Kongres USA uchwalił "GI Bill", uprawniający do studiów weteranów wojennych. Ekonomiczny boom następnych lat zmniejszył liczbę osób w sektorze produkcji, a powiększył liczbę tych, którzy mogli pozwolić sobie na studia. Coraz mniej osób miało do czynienia z glebą, cegłą czy stalą, coraz więcej z papierem. W 1954 r. zniesiono doktrynę "separate but equal", która otworzyła uniwersytety dla Czarnych. W 1957 r. USA przeżyły "sputnik shock", w wyniku czego państwo i armia zaczęły pompować miliardy dolarów w wykształcenie i stypendia, otwierając wrota "lower-classes". Doszło do tego jeszcze eksplozja przyrostu naturalnego w latach 60. i niebawem "run" na uniwersytety z początkiem wezwania do wojska (college okazało się miejscem przyjemniejszym niż, dajmy na to, Da Nang czy My Lai) - i okazało się wówczas, że uczelnie nie są przygotowane na taki zalew studentów. Zaczęto przyjmować "nauczycieli", których w innej sytuacji by nie zatrudniono.

Lata 60. były też czasem niepokoju społecznego w Ameryce. Były również okresem kontrkultury, która atakowała tradycyjne konserwatywno-liberalne wartości "społeczeństwa mieszczańskiego". Wówczas to, podczas wieców, strajków i manifestacji, studenci wywalczyli sobie wiele obowiązków do dziś: obniżenie prógów wstępu, wolny wybór przedmiotów, kursów oraz większy wpływ na politykę uniwersytetów. To, co się dzieje obecnie na amerykańskich uczelniach, jest więc w ogromnym stopniu wynikiem działania tych, których zwykliśmy dziś nazywać "pokoleniem 1968".

{moscomment}